

# Stanisław Pigoń

---

## List K. Brzozowskiego do T. Lenartowicza

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 14/1/4, 123-126

---

1916

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach  
dozwolonego użytku.

## List K. Brzozowskiego do T. Lenartowicza.

W tym samym zbiorze polenartowiczowskim, z którego podałem tu w poprzednim roczniku list Mickiewicza, znajduje się i list niniejszy. Przez swój charakter stanąć on może jako *pendant* do ogłoszonej na tem miejscu przez T. Piniego autobiografii poety.

\* \* \*

Lattaquie 25. Marc. 1875.

Kochany, drogi mój Teofilu! „Milczenie nie jest zapomnieniem“. Czy my siebie zapomnieć możemy? Znadto jest świętych rzeczy w przeszłości, które nas wiążą; za wiele jest spójni moralnych między nami, abyśmy zobojeźnić względem siebie a w końcu i zapomnieć o sobie mogli. Ot, rozerwały nas losy, pochnęły (!) nas każdego w inną stronę — straciliśmy się z oczu — ale wierzaj mi, nie do nas oby dwóch stosuje się przysłowie: „co z oczu, to i z serca“.

Byłem u Kornela, dowiedziałem się od niego o strasznych ciosach, które upodobało się Bogu Cię dotknąć i pisałem później do Ciebie. Rzecz prosta, że ten list Cię nie doszedł, bobyś przecie tak ciężkiemu wyrzutu twojemu staremu druhowi nie uczynił.

Trudno wysłowić, ile pomimo tego wyrzutu list twój radości mi sprawił; a co my się z Władysławem<sup>1)</sup> o tobie nagadali przez te pięć dni, które u mnie przepędził!

Długoby Ci opowiadać całą Odyseję moją; dosyć, że brakło mi przed sześciu laty trzynastu stopni jeograficznych, aby w robotach na piecho w Turcy odbyć drogę, wyrównywającą wielkiemu kolu kuli ziemskiej. Od tego czasu do dzisiaj te trzynaście stopni musiałem z górą zapłacić. Zdrow jestem i patrząc na moją siwą brodę (powiedzmy prawdę, białą) myślę o poczciwym starym naszym mistrzu z Czarnolesia i o prawdzie tej fraszki, gdzie mówi:

„A chocia głowa siwa, jeszcze nie zganiony,  
Czosnek ma głowę białą, a ogon zielony“.

Zresztą od tej barwy głowy czosnków broniłem się dobrze, ale kula co w ostatniem powstaniu nawiedziła me piersi, nie mogąc powiedzieć: przysypałam go ziemią, mówi sobie przynajmniej: zasypałam mu brodę śniegiem. Ubito mi dwóch braci, a ja cudem się ocaliłem i da Bóg jeszcze mi w ucho zagrzmie nowa pobudka na wrogów — i stawię się na apel.

Mówisz mi: „co robię, nie wiele warto, a co myślę robić — jeszcze mniej“ — o tem mój kochany Teofilu ludzie inaczej sądzą; daruj więc, że tą razą nie z tobą, ale z ludźmi jestem, bo oddawna wiem co w Tobie jest i nie liczyłem się nigdy do tych, których wążka

<sup>1)</sup> Wład. Tarnowski (\* 1841, † 1878), kompozytor i poeta Pseudonim: Ernest Buława, lub: »autor *Poezyi Studenta*«.

pierś tylko zawiścią oddychać nawykła, nie ciesząc się nigdy pięknem, co nie jest z nich. Nie tracę nadziei i liczę na to święto, kiedy moje oko i ucho u Ciebie samego ujrzy i usłyszy, coś dał dla świata sztuki.

Co do mnie, mój drogi, licz mnie zawsze pomiędzy tych, co uciekają od pióra jak bies od święconej wody. Rozumiem owego polskiego szlachcica piszącego do swoich, że go najbardziej uderzyło Koloseum i Pontyjskie błota, bo co tam być musi kszyków! I ja mój Teofilu, włączając się po polach Farsalskich i na tych, gdzie zawołał Brutus porażony: „Fraszka jest cnota, fraszka z każdej strony!“ chwilę zamyśliłem się o Cezarach, ale przez całe życie moje nie zapomnę tych złotyżących bażantów wyrwywających się z szumem i krzykiem z pod nóg moich; bażantów, które dziesiątkami w parę godzin wysyłałem ad patres. W wyobraźni mojej od cudów Balbeku, które pojechałem oglądać Władysław, nie mogę oderwać czerwonych kuropatw. Przez trzy dni podziwiając olbrzymie ruiny arcydzieł, słyszałem dyabła szeptającego mi z przekąsem do ucha: a czemuś ośle strzelby nie wziął z sobą!

Miałem być missją jeograficzno-leśną w Bałkanach, które nie mają dla mnie żadnej tajemnicy począwszy od Czarnego Morza aż do granic Serbji i zszedłszy z gór znalazłem list, z którego ci słów kilka przytaczam: „Le ministère veut vous envoyer aux sources de l'Euphrate, pour reconnaître le pays et les ressources forestières; vous descendrez jusqu'à Beredjik. Ces quelques lignes suffisent pour effrayer les inspecteurs les plus intrepides, mais à Vous dont je connais le goût aventureux de géographes, cette idée va sourire — d'ailleurs vous y trouverez l'ours, le moufflon, le chamois et quelques panthères.“ W takim życiu zzeleźniały ściągacze moich lędźwi — a gdy Ci powiem, że moja strzelba na urząd robiona, poważnej wagi, o ścianach grubych jak pięciofrankówka, wychlustała się do papierowej cienkości, to się domyślisz, że na zapyłonej lutni mojej zardzewiałych strunach tylko wiatr i muchy grają.

Po wycieczce mojej Kurdystańskiej w r. 1869. wynurzyłem się z gór i znalazłem się w Mussulu nad Tygrem; wybierałem się właśnie przebiegnąć miejsce, na którym Niniwa stała i wsypywałem proch do roga, bo tam dziś dość jest frankolinów, gdy przyniesiono mi list w kopercie tureckiej, dwiema urzędowymi pieczęciami zamkniętej; rzuciłem go na stół, siadłem na konia, powróciłem wieczorem z wiązką frankolinów i z wrażeniem w duszy, które najlepiej tłumaczy wykrzyk mędrca: Vanitas vanitatum! Zapaliwszy nargilę sięgnąłem od niechcenia po ów list od rana czekający na stole i wyobraź sobie moje zdumienie i radość, gdy pod tą bisurmańską powłoką znalazłem pismo z daleka, z Polski, pismo naszego wielkiego Pola.

„Nie znajomy, lecz po znajomości jako brat po lutni — piszę te słów kilka, aby zbliżyć się do poety, w którego utworach takim blaskiem Wschód się pali, że tu poezja staje za podróż. Podziwiam twoje oko na piękności natury i szeroki oddech twej piersi w dzikich lasach Anatolji. Po Nebabie Goszczyńskiego, po jego Łabędziej puszczy, po obrazach ogarniętych z wierzchołka starego dębu, nie spotkałem się ani

z poezją, ani z poetą, któryby tak sympatyzował z naturą. Przyciskam Cię do serca mego, Panie Karolu! a jeśli jest coś co nas wiąże tu na ziemi, niechże to będzie to wspólne poczucie piękności na łonie przyrody — i gdy kiedyś nocą w lasach Anatolii lub na pustyni spojrzysz ku niebu, to spojrzysz i za mnie na gwiazdy, których już ja nie widzę“.

List ten drogi mój Teofilu, z nóg mnie zwałił; rozdarł zasłonę z przed mych oczu, raz pierwszy wejrzałem w siebie i uwierzyłem, że tam coś jest, a raczej że tam coś było! Gdyby taka Polowa rosa dziesięć lat pierwej upadła była na moje serce, to czuję, że jabym coś zostawił po sobie; — spadła zapóźno! Co leży w kilku tych słowach moich, nikt nad ciebie, stary mój druhu, tego lepiej nie zrozumie. „Sen da orada Wardin“ — i ty tam byłeś, powiada Turek.

Ten list wielkiego, a nieszczęśliwego ślepcy jak wyrzut sumienia chodzi za mną i raz na pustyni na parę tygodni zostawiłem gazerę w pokoju. I cóż? Już nic nie umiałem wysnuć z siebie i zdobyłem się ledwie na przekład ksiąg Hioba. W rok później pojechałem do Galicyi, nie dla drukowania — jak mówisz — jakiegoś arcydzieła, ale dla sprowadzenia do Syrii parę oraczów i pługów, których tam nie znają. Korzystając z tej sposobności, byłem we Lwowie, spotkałem się z Kornelem i zająrzałem do Krakowa na dni cztery, które spędziłem dzieląc czas między Pola i Matejkę. Pan Wincenty zaprosił do siebie dobrych swoich znajomych, aby z nim posłuchali Hioba i rzekł mi w końcu: „żeby taki dać przekład, trzeba być poetą, trzeba być wygnańcem i wygnańcem na pustyni“. Czuję, pocziwy mój Teofilu, że ten przekład mnie i wszystkie moje utwory przeżyje. Przy rozstaniu się, niestety na zawsze, Pol wziął odemnie słowo, verbum nobile, że wszystkie moje utwórki porzucane po świecie zbiorę i w jednej wiązce wydrukuję. Kiedy się to nareszcie stanie, nie wiem; ale stać się musi, bo nie chcę wielkich, świętych prochów mistrza naszego obrażać niedotrzymaniem słowa.

Przeszłego lata napisałem prozą nowellę bułgarską: *Złote rybki*, dotąd jej żadne ucho prócz Władysława nie słyszało, — leży to w tece. Ktoś może z tego zrobi kiedyś coś wielkiego, — mnie tchu brak.

Oto masz, drogi, pocziwy mój stary druhu, wszystko, co Ci miałem powiedzieć o sobie jako o literacie; — szerzej mógłbym się rozpisać, gdybym ci począł opowiadać o Dżebel Szechach, Mussallach, Ryłach, Duldulach, Pyr-Omer-Gudrunach wieczystym śniegiem pokrytych, który deptałem. Turcy mnie nazywają *Ak-Baba*. Był orzeł *Ak-Baba* (Siwy Ojciec), temu gdy od starości dziób się zakrzywił i skrzydła osłabły, jakiś brat latacz, doktor przyrzekł go uzdrowić, jeśli na pióra swe rzuci szczyptę ziemi z pod skały, którąby nie obielił śladem trawienia; *Ak-Baba* się zamyślił, westchnął i zawołał: o ty jasne, ciepłe słońce, bywaj mi zdrowe na wieki. — Nie znał takiej skały. Jeszcze szerzejbym się rozpisał, gdybym począł prawić o strzałach, którychby mi sam Tel pozazdrościł; o kudłach niedźwiedzich podesłanych pod nogi, o rojach lataczów rusznicą moją uśmierconych. To sobie odkła-

dam na pogadankę przy kominkowym ogniu w polskim dworku i da Bóg wielki, że Ty będziesz pomiędzy słuchaczami.

Mam pocziwą kobietę, która wszystko mężnie, a wesoło ze mną podziela, — dwie córki i syna. Najstarsza urodziła się w kilka dni po wybuchu ostatniego powstania, Bóg wielki a dobry nie chciał jej sieroctwa; druga ma rok piąty, wesoła i ładna szczebiotka z Feredziatu pod Babilonem, broni się od Pana Stanisława, dwuletniego burmistrza, który ją często czubi, uprzykrzywszy sobie harce na mojej wyżlicy, lub zapasy z oswojoną gazelą, która mu z ręki chleb wydziera.

Kochany mój Teofilu! tyle się już nagadałem o sobie, a nic Ci nie mówię o Władysławie. Znasz go dawniej i bliżej odemnie i nie dziwię się, że go kochasz, bo te kilka dni, które pod dachem moim przepędził, wystarczyły, abym się prawdziwie w nim zakochał; rozstałem się z nim z takim smutkiem, jakbym w nim więcej niż brata żegnał. Przybył do mnie rano, morze hulało, — barka wylądowała go daleko od zwykłego miejsca, dokąd się przybliżyć nie mogła i spotkałem go na bezdrożu w ogrodach, jeszcze z zawieszonymi u włosów kroplami fali, która mu w twarz biła. Po hulającym morzu odpłynął do Bejrutu i być musi w tej chwili koło Balbeku. Patrzę pisząc na ołowiane bałwany chmur, w których cały Liban zatonał i z obawą jakby ojcowską myślę sobie, co on tam porabia, zasypyany śniegiem; a nie chciał mi wierzyć, że na Libanie bywa często Syberja, nie daleko od rozkwitniętych drzew pomarańczowych.

Długo moi Latakiości pamiętać będą Tarnowskiego. O potężnej grze jego nic nie powiem, bo ją znasz, ale o tem zamilczeć nie mogę, że Arabi, którzy nigdy nie mogą pojąć muzyki europejskiej i poza swoją nic nie słyszą, poraz pierwszy wykrzyknęli, że nią i m serca w y r y w a.

Kochany stary mój druhu, przyciskam Cię gorąco do serca! Pamiętaj, że jest tam ktoś za morzami, co Ciebie kocha. Napisz do mnie, a długo, długo! o wszystkim, coś robił, robisz i robić myślisz, o wszystkim, co Cię boli i co Cię pociesza. Zbliżmy się znowu do siebie pomimo odległości.

Chociaż mi głowę pobielity szrony,  
Ten sam ja zawsze a niepoprawiony,  
Zawsze i wszędzie ten brzydki mam narów:  
Nie mam pieniędzy i nie cierpię carów.

Ha! gdybym miał ze dwadzieścia złotych blaszek, to zamiast tego listu, miałbyś mnie już na pocziwej, zbolałej twej piersi!

Twój

Karol

Adres do mnie prosty: Charles Brzozowski à Lattaquié (Syrie)

Kraków

Podał *Stanisław Pigoń*.